

„Divided we fall”

W dzisiejszych amerykańskich realiach, w których twarda „polityka tożsamości” po raz pierwszy od czasu wojny secesyjnej rodzi pokusę decydującego zwycięstwa za każdą cenę nad znienawidzonym wrogiem, slogan „United we stand, divided we fall” nabiera nowej i bardzo sugestywnej treści – pisze Jan Rokita w najnowszym felietonie.

W coraz bardziej nerwowej amerykańskiej debacie przedwyborczej powraca plan wykluczenia Donalda Trumpa z wyborów prezydenckich na podstawie Czternastej Poprawki do konstytucji. Ostatnio z takim planem wystąpił czołowy polityk Partii Demokratycznej – senator Tim Kaine ze stanu Wirginia, który wraz z Hillary Clinton, jako jej kandydat na wiceprezydenta, przegrał w 2016 roku wybory z Trumpem i Pence’em. Kaine przypomina liderom swojej partii, że już wtedy gdy szykowali impeachment wobec Trumpa odwodził ich od tego pomysłu, wskazując, iż nie jest to skuteczny sposób na zablokowanie na przyszłość Trumpowi drogi do odzyskania prezydentury. Według Kaina, do zniszczenia Trumpa należało już wówczas użyć amunicji atomowej, czyli po prostu obwieścić, że jako buntownik przeciw konstytucji, na mocy Czternastej Poprawki, nie może on objąć żadnego urzędu publicznego. Widać, że Kaine stosuje teraz wobec swoich towarzyszy partyjnych argument „a nie mówiłem?”. I w pewnym sensie ma rację, gdyż tak jak przewidywał cztery lata temu, o ile ktoś nie powstrzyma demokratycznej lawiny, to Trump nawet z ławy oskarżonych albo z więzienia ma szanse na odzyskanie prezydentury.

Wtedy jednak, gdy Demokraci dwukrotnie próbowali impeachmentu, nie dysponowali jeszcze rozwiniętą doktryną prawniczą, która by interpretowała Czternastą Poprawkę w sposób przydatny do akcji przeciw Trumpowi. Od tamtego czasu wiele się pod tym względem zmieniło, albowiem prawnicy z kilku czołowych uniwersytetów zdołali już wykonać właściwą pracę. Pewien prawniczy kłopot ze sławnym obecnie trzecim ustępem Czternastej Poprawki tkwi w tym, że choć istotnie zakazuje on obejmowania urzędów osobom, które przysięgały na konstytucję, a potem „wzięły udział w powstaniu lub buncie” przeciw konstytucji, to w tym kontekście wymienia tylko posłów i senatorów, elektorów prezydenckich i urzędników, ale nie samego prezydenta. Nie czuję się na siłach dokonywać wykładni niuansów amerykańskiej konstytucji, ale zdaje mi się, że Ojcom Założycielom nie przyszło do głowy, iżby komukolwiek w państwie dać prawo decydowania o prezydenturze ponad głowami samych Amerykanów. Ale profesorowie William Baude z Uniwersytetu w Chicago, Michael Paulsen z University of St. Thomas i Laurence Tribe z Harvardu oraz sędzia Michael Luttig obwieścili w swoich opiniach, iż wykluczenie „Trumpa i innych” z wyborów prezydenckich na mocy Czternastej Poprawki byłoby co prawda precedensowym, acz absolutnie właściwym użyciem uczynionym z amerykańskiej konstytucji. Wrogowie Trumpa mają już zatem oczyszczone prawniczo pole do politycznej akcji.

Nikt teraz jeszcze nie wie, czy taka akcja zostanie podjęta, a obecna debata to tylko przymiarki do przyszłej definitywnej rozgrywki. Wygląda jednak na to, że pomimo swej determinacji, sami prawnicy (tzn. prokuratorzy i sędziowie), choć mają moc skazać Trumpa na wieloletnie więzienie, a nawet realnie osadzić go w kryminale, i to być może nawet jeszcze przed przyszłorocznymi wyborami, to jednak nie dadzą rady zablokować Trumpowi zwycięstwa w wyborach. To muszą

zrobić politycy, świadomi zapewne potężnego ryzyka, jakie wiązałyby się z takim krokiem tak dla Ameryki, jak i dla świata. Co prawda wizja prawdziwej wojny domowej (na wzór wojny secesyjnej), która czasami powraca w prognozach dotyczących USA, na razie wydaje się mało realna, skoro w federalnej Ameryce armia znajduje się w całkowitej dyspozycji urzędującego prezydenta. Jednak całkiem możliwy jest prodemokratyczny ludowy bunt na dużą skalę, jeśliby rząd Bidena, albo zdominowany przez lewicę senat, zdecydowały się obwieścić, iż Trump jako buntownik nie jest już kandydatem do prezydentury. Nietrudno sobie wyobrazić skalę politycznego zamętu, jeśli taka akcja zostałaaby podjęta po lipcu 2024 roku, gdy najprawdopodobniej Trump otrzyma podczas konwencji w Milwaukee nominację Partii Republikańskiej. Mogłoby się wówczas okazać, że – niczym w typowych dyktaturach – Biden będzie mieć w listopadzie tylko takich konkurentów, którzy nie mają żadnych szans, aby mu zagrozić. Brzmi to wszystko jak jakiś ponury żart na temat demokracji amerykańskiej, tyle tylko, że takie żarty w dzisiejszym świecie stają się zwyczajnymi scenariuszami, wartymi uwagi i namysłu.

Trzy lata temu w Ameryce głośna stała się książka pt. „Divided We Fall”, napisana przez cenionego publicystę i ewangelikalnego chrześcijanina Davida Frencha. Posługując się modną ostatnio w naszym kraju terminologią, Frencha można by określić kimś w rodzaju współczesnego amerykańskiego „symetrysty”. Swego czasu był naczelnym libertariańskiego magazynu „National Review”, ale zwykł pisać także felietony dla lewicowego „New York Timesa”. Jednak całe swoje życie konsekwentnie walczył o prawa religii i obecność Biblii w życiu publicznym, więc nic dziwnego, że środowiska konserwatywnych chrześcijan proponowały mu walkę o prezydenturę w roku 2016, na co sam, po sporych wahaniach, ostatecznie się nie zdecydował. Książka symetrysty Frencha w sposób rozsądny i rzeczowy przedstawia możliwe

scenariusze rozpadu amerykańskiej Unii, na przykład przez wystąpienie z niej Kalifornii (z powodu konfliktu o prawo do posiadania broni), albo Teksasu (z powodu sporu o aborcję). Przy czym French był czytany i polemicznie recenzowany przez obie walczące ze sobą na śmierć i życie strony, gdyż nie posługiwał się ani zjadłością wobec żadnej z nich, ani też nie wpadł w nastrój katastroficznej jeremiady, tak charakterystyczny dla fanatyków z obu obozów podczas kampanii 2020 roku. Pokazywał po prostu, że taki kraj jak Ameryka – wielki terytorialnie, heterogeniczny kulturowo i politycznie zdecentralizowany – dość łatwo może zawalić się, jeśli pod wpływem tożsamościowego zacietrzewienia któraś ze stron spróbuje jednak odnieść decydujące polityczne zwycięstwo nad zniechęconym ideologicznym wrogiem. W styczniu 2021 roku na Kapitolu mieliśmy pierwszy i słaby na razie podmuch dziejowego wiatru przepowiadanego przez Frencha. Jeśli jednak w roku 2024 miałyby się zdarzyć odmowa uznania przez Demokratów republikańskiego kandydata do prezydentury, i to z powołaniem się na Czternastą Poprawkę, ów zefirek sprzed czterech lat może przekształcić się w sporą burzę.

To ponoć jeden z Ojców Założycieli Ameryki – John Dickinson, zwany w XVIII wieku „pisarzem rewolucji”, jest autorem sloganu, z którego French zaczerpnął tytuł swojej książki: „United we stand, divided we fall”. Powtarzany przez polityków, od Lincolna po Churchilla, ów slogan jest dość banalną pochwałą starorzymskiej cnoty Concordii, z natury rzeczy niezbyt cenionej w warunkach żywiącej się konfliktem demokracji. Tyle tylko, że w dzisiejszych amerykańskich realiach, w których twarda „polityka tożsamości” po raz pierwszy od czasu wojny secesyjnej rodzi pokusę decydującego zwycięstwa za każdą cenę nad zniechęconym wrogiem, ów slogan nabiera nowej i bardzo sugestywnej treści. Rzecz w tym, że wewnętrzny kryzys demokracji amerykańskiej może okazać się znacznie głębszy, bardziej przewlekły i

mocniej odczuwalny dla świata, niż się to nam dzisiaj wydaje. Przyznam, że patrzę na taką perspektywę ze wzmagającym się napięciem i nerwowością. A zarazem rośnie moje zdziwienie, że w tym napięciu i nerwowości wydaję się sam sobie dość odosobniony. Raczej każdego dnia czytam i słyszę w Europie, także w Polsce, liczne i pełne ideologicznej pasji głosy kibiców jednej i drugiej strony amerykańskiego sporu. Być może zresztą nasze europejskie poglądy i pasje nie mają znaczenia, bo też wpływ nas – Europejczyków na losy walki o władzę w Ameryce jest mniej więcej taki, jaki był wpływ króla Pontu Farnakesa na losy drugiej rzymskiej wojny domowej. Tym niemniej, istota rzeczy tkwi w czymś, co bym nazwał cnotą ostrego i jasnego myślowego oglądu rzeczywistości. O ile bowiem w takim Paryżu mogą nawet zacierać ręce na myśl o jakiejś hipotetycznej wielkiej amerykańskiej smucie, to w Warszawie taka myśl winna przynajmniej budzić myślową czujność i poczucie zagrożenia. Bo też Polska byłaby pewnie pierwszym krajem europejskim, który amerykańska smuta wystawiłaby na niebezpieczeństwo, z ryzykiem dla naszej niepodległości włącznie.

Jan Rokita

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
